

Wspomnienie o Andrzeju Szczekliku

Jacek Sławiniński

Nad Cmentarzem Salwatorskim unosiła się lekka mgiełka, każdy oddech porażał zimnem, w temperaturze minus 18 stopni zmarznięta ziemia nie chciała przyjąć Andrzeja. My też chcielibyśmy zatrzymać Andrzeja wśród żywych. Słońce, chociaż rozmyte przez mgłę, dawało odrobinę ciepła i razem z Jasiem Ciećkiewiczem wysunęliśmy się do przodu, tak aby nas nikt nie zastał. I staliśmy wyprostowani, zastygli w zimnie, w niewyraźnych promieniach ciepła, otepieni nagłym zgonem Andrzeja.

Wydawało się, że jeszcze wczoraj razem z Andrzejem, dwoma kolegami i koleżankami z grupy siedzieliśmy u Jasia w jego „pracowni”, czyli w pokoju oddzielnym klatką schodową od kuchni, w Szarej Kamienicy przy Rynku. Kuchnia była połączona z mieszkaniem Jasia i gabinetem jego ojca, lekarza. Na biurku u Jasia stało kilka butelek wina, które można było łatwo schować za tapczanem, bo drzwi od kuchni skrzypiały, podest schodów był szeroki, no i drzwi do „pracowni” otwierały się ciężko. Ani u Andrzeja, ani u mnie nie mieliśmy tak dogodnych warunków, a ojciec Jasia, w przeciwieństwie do ojca Andrzeja, który pracował we Wrocławiu, czy mojego, który był daleko w Zakopanem, prawie zawsze stawał butelkę wina na pustym biurku – oparcie tapczanu zasłaniało inne butelki – a po godzinie przychodził sprawdzić, czy zbyt szybko tej butelki nie opróżnimy. Kłopot polegał na tym, aby nie pomylić pustych butelek i na biurku trzymać tę, która została ofiarowana. Nasze rozmowy – w towarzystwie koleżanek – dotyczyły asystentów, profesorów i egzaminów, a także gór, bo we trójkę fascynowaliśmy się Tatrami. Właściwie to była dwójka, Andrzej i Jasiu, do których dołączyłem na pierwszym roku medycyny. O górach mogliśmy rozmawiać w nieskończoność, kłócąc się o drogi dojścia i ścieżki, o szczegóły – czy mostek przez strumień był przed czy za kapliczką i kto z nas szybciej przeszedł po oszronionym smreku leżącym nad potokiem. Od czasu do czasu Andrzej próbował skierować rozmowę na genetykę – właśnie (było to przecież już po śmierci Ojca Narodów) dowiedzieliśmy się, że pan Łysenko nie ma racji i że jakiś duchowny z Moraw, krzyżując groszek, odkrył geny. Dla Andrzeja było to fascynujące (choć dokonanе przed laty) odkrycie i usiłował nam po wielu kieliszkach wytłumaczyć, jakie to może mieć znaczenie dla medycyny. Nas

bardziej fascynowało to, że nasi partyjni profesorowie osobiście wycofywali z księgarni swoje podręczniki skażone Łysenką. Niepotrzebnie, bo ich próba zaszczepienia w nas nauk Miczurina i Łysenki nigdy się nie powiodła z przyczyn, mówiąc ogólnie, rozmaitych.

W czerwcu następnego roku skuterem marki Peugeot wyruszyliśmy z Andrzejem do Belgradu na dwumiesięczne praktyki studenckie. Andrzej był zawsze prymusem (prawie zawsze, bo przez nasze spotkania w Szarej Kamienicy nie zdał farmakologii) i z tej racji pierwszym kandydatem do praktyki. Po dwutygodniowej jeździe – Peugeot pod górę nie chciał jechać i trzeba było go przepchać przez całe Niżne Tatry – wjechaliśmy z dużym opóźnieniem do Belgradu. Po drodze nie mieliśmy przygód, bo w wieku 19 lat nie jest niczym specjalnym spanie na sianie lub po prostu w polu na terenie Czechosłowacji, a także – i to jednak była przygoda – w luksusowych hotelach na terenie Węgier. W luksusowych dlatego, że był rok 1957 i absolutnie wszyscy napotkani Węgrzy chcieli się nam zrewanżować za pomoc Polski w ich batalii z komunizmem. Obcy nam ludzie przyjmowali nas wystawnymi kolacjami, ksiądz z zakrystianem mylił nam skuter, orkiestra w różnych lokalach grała specjalnie dla nas hymn narodowy, w którym Andrzej (student konserwatorium z absolutnym słuchem) nieodmiennie rozpoznawał „Sza dziewczeczka do laseczka”. Prawdziwą przeszkodą okazało się dopiero przekroczenie pierwszej w naszym życiu granicy między narodami robotniczo-chłopskimi a krajami skazanymi na kapitalizm, czyli granicy węgiersko-jugosłowiańskiej. Ponad godzinę naradzaliśmy się z Andrzejem przed kantorem celników, jak wypełnić otrzymane formularze. Na górze każdego z nich była informacja, że wszystkie rubryki należy wypełnić zgodnie z prawdą, a poniżej, dwukrotnie większą czcionką i drukowanymi, pogrubionymi, czarnymi literami: „SMRT FASZISTIMA”. Zastanawialiśmy się, czy będą zabijać za każdą próbę przewiezienia niedozwolonego towaru i baliśmy się, że odnalezienie przemytu może oznaczać „SMRT”, szczególnie że obaj byliśmy wrogami komunistów. Kiedy więc w końcu obyło się bez kontroli i z olbrzymią ulgą przeszliśmy na stronę jugosłowiańską, postanowiłem zapytać – chociaż Andrzej błagał mnie: „Nie

Adres do korespondencji:
prof. dr hab. med. Jacek Sławiniński,
ul. Modrzewiowa 5, 05-820 Piastów
e-mail: jacekslawinski@yahoo.com
Copyright by Medycyna Praktyczna,
Kraków 2012

pytaj o nic, błagam, jedźmy już!” – celników, którzy rozkręcali śrubka po śrubce samochód marki Moskwicz z węgierską rejestracją, dlaczego ów Węgier jest tak sprawdzany. Celnik wyszedł spod Moskwiacza – jak się okazało był wysoki, postawny – i z powagą, głębokim basem powiedział: „To arcymistrz Szabo wraca z turnieju szachowego, gdzie wygrał 100 000 dolarów i nie deklaruje ani centa”. Spojrzał na Andrzeja, który już wsiadał na skuter, mnie także zlustrował wzrokiem i dodał: „Twój kolega ma aparat fotograficzny w wiatrówce, a ty przemycasz «szarotkę», ale wy jesteście studenci i musicie z czegoś żyć”. W tym momencie, ku wielkiej radości celnika, Andrzej spadł z siodła, a ja osunąłem się na próg urzędu – tak rażąca była wizja śmierci za kłamliwe wypełnienie formularza „SMRT FASZISTIMA”.

W Belgradzie wszystkie praktyki były już zajęte, przyjmowano po 4 studentów na oddział i po 2 tygodniach wolne miejsca były wyłącznie na oddziale gruźlicy. Z rozpaczy poszliśmy napić się wina za ostatnie dinary – było jasne, że na nic zdała się troska naszych matek w czasie okupacji, aby nas uchronić przed gruźlicą. Spóźnieni, bo po południu, i na lekkim rauszu, zgłosiliśmy się do profesora Grujica, odpowiedzialnego za praktykantów z Polski. Profesor nie znał angielskiego, ale biegle posługiwał się francuskim – językiem, który Andrzej znał perfekcyjnie. Chociaż Andrzej spędził później lata w Stanach Zjednoczonych i w Anglii, to czuło się, że jego prawdziwą miłością była Francja, francuski i Paryż. Francuski Andrzeja uratował nas (szczególnie mnie, nieznającego w tym języku ani słowa). Profesor był zachwycony Andrzejem i jego wiedzą, i zaproponował nam udział w akcji szczepień przeciwgruźliczych, która obejmowała całą Jugosławię. Dostaliśmy auto, opiekuna i kiedy chcieliśmy ruszyć za amerykańską sanitarką wiozącą szczepionki, profesor na odjeźdźnym powiedział: „Nie musicie asystować przy szczepieniach. W ogóle nie musicie oglądać szczepień”. W ten sposób Andrzej ani ja nigdy się nie dowiedzieliśmy, jak należy szczepić.

Zwiedzając Jugosławię, mieliśmy dużo czasu na dyskusje. Takie to były czasy, że nasze dyskusje – na pewno naiwne – nie koncentrowały się na samochodach, dziewczynach i piłce nożnej, ale dotyczyły wyłącznie sensu życia i pytań o istnienie Boga. Andrzej był bardzo wierzący i zbijał moje argumenty o ewolucji. „Chcesz powiedzieć – mówił – że wszystkie twoje posunięcia, każdy nieomal ruch, wybór studiów, miłość... że nie masz żadnej woli i małe cząsteczki chemiczne decydują za ciebie o wszystkim?!”. Rzeczywiście, trudno było się pogodzić z poglądem, że nie robię tego, co chcę, ale dokładnie to, czego chcą moje geny. „Chcesz powiedzieć – dobijał mnie Andrzej – że gdyby nie doszło do odpowiedniego połączenia pomiędzy grupą aminową i karboksylową, robiłbyś w życiu dokładnie coś przeciwnego? Czy mógłbyś mieć poglądy nacjonalistyczne, faszystowskie? Twój gen, mała niteczka w jądrze

komórkowym, nawleczona na histony, uczyniła z ciebie człowieka?”.

Pchając skuter przez Niżne i Wysokie Tatry, wróciliśmy w połowie września do Zakopanego. Wykończyły nas te praktyki i podróże. Portier szpitala, w którym pracował mój ojciec, nie tylko nas nie rozpoznał, ale jeszcze poszczuła zakopiańskimi owczarkami. Potem Andrzej, niewiarygodnie ambitny, namówił mnie do starania się o certyfikat ECFMG, bo tylko w ten sposób student bez „słusznych” znajomości mógł się dostać na praktykę szpitalną w Ameryce. Andrzej pracował tam ciężko ponad rok, przy czym słowo „ciężko” jest eufemizmem – tydzień w szpitalu (tylko w środy szedł kłaść się do domu) i codziennie prowadził z rezydentem konsultacje, czyli kolokwia z każdego działu medycyny, bo absolwent w Stanach musi świetnie znać radiologię, i mieć pojęcie o praktycznej okulistyce i laryngologii. Ciężka szkoła amerykańska i przykład ojca, który ściągnął Andrzeja do swojej kliniki, wyrobiły w Andrzeju wielką odpowiedzialność, pracowitość i zdolność do koncentracji, bo we Wrocławiu trzeba było szybko i celnie badać pacjentów, opisywać badania, prowadzić historie choroby i przygotowywać referaty, aby nie „podpaść” profesorowi lub innym lwowiakom, choćby profesorowi Falkiewiczowi, który prowadził swoją klinikę o piętro wyżej. Równocześnie Andrzej prowadził w laboratorium badania nad α_1 -antytrypsyną. Jednakże najważniejszym odkryciem Andrzeja była wrocławianka, którą kiedyś przywiózł do Krakowa, umożliwiając Jasiowi i mnie poznanie jego przyszłej żony.

Wrocław spowodował, że oddaliliśmy się od siebie. Już bardzo rzadko spotykaliśmy się na ulicy św. Tomasza – zwykle wtedy, kiedy nikogo nie było w domu. Andrzej siadał przy fortepianie i grał mniej lub bardziej ambitne stare melodie, takie jak *Muskrat Ramble*, *St. Louis Blues*, *The Memphis Blues*, *C'est Si Bon*, *Blueberry Hill*, *Mack the Knife* i *Savoy Blues*, my z Jasiem dostarczaliśmy wino i wspominaliśmy różne młodzieńcze przygody z czasów studiów, nie wszystkie, niestety, napawające nas dumą i nadające się do powtórzenia. Nie wiem jak Jaś, ale ja na pewno właśnie takiego Andrzeja będę pamiętał i kochał: nie tego z pomnika i nie tego opromienionego sławą naukowca i lekarza, ale Andrzeja zwykłego, który dygoce z zimna na łące nad Balatonem (skuter znowu nawalił) i który przy kieliszku znowu rozpoczyna rozmowę na temat „Powiedz, co za tym wszystkim stoi? Czy istnieje coś, co jest stałe i niezmiennie? Jeśli takiej rzeczy nie ma, to czy wszystko, co nazywamy, nie jest pustym dźwiękiem?”.

Jego zainteresowanie światem doprowadziło do połączenia nauki eksperymentatora-specjalisty i wiedzy dyletanta-filozofa. Andrzej był chyba ostatnim naukowcem tkwiącym korzeniami w XIX wieku, który nie należał do mądro-głupich współczesnych uczonych (definicja Ortegi y Gasseta) i starał się swoją wiedzą przeniknąć dziedziny, w których jego koledzy należeli do ignorantów. Olbrzymia erudycja i znajomość antyku pozwoliły

mu w esejach, szczególnie w „Katharsis”, połączyć specjalizację z najwyższej półki z pytaniami, które zadają wyłącznie filozofowie i których uczeni XXI wieku nie potrafią zadać. Dzisiejsi naukowcy wyspecjalizowali się tak bardzo, że potrafią się porozumieć wyłącznie za pomocą *impact factor*, ale sedna swoich prac nie rozumieją. Nie ma sensu pytać ich o istotę duszy – nie rozumieją pytania. Tymczasem Andrzej, napędzany swoją młodzieńczą wrażliwością, postawił to pytanie. Może nie do końca dał na nie odpowiedź, ale – co jest w filozofii najważniejsze – potrafił zapytać i pozostawić nas poszukujących odpowiedzi.